

**Katarzyna Anna Urbanowicz**

## **Ułović deszcz**

W mieście było takie miejsce, w którym autobus zjeżdżający z jednego wzniesienia, zanim podjechał pod następne, znacznie wyższe, w połowie drogi jakby tracił oddech, zatrzymywał się na chwilę, zgrzytając biegami zbierał siły, aż wreszcie skraj chodnika, centymetr po centymetrze, cofał się przed oczami pasażerów. Autobus nabierał rozpędu, wjeżdżał pod górę i niknął z oczu z powodu parku ciągnącego się wzdłuż chodnika. Na dole, w miejscu, gdzie autobus tracił rozbieg, w murku najeżonym ostrymi szpikulcami, znajdowała się mała furka. W ciągu dnia była zawsze otwarta, bo choć niegdyś park stanowił część książęcej rezydencji, obecnie był ogólnodostępnym śmietnikoparkiem, gdzie spacerowały mamy na urloпах bezpłatnych, emeryci i renciści z psami oraz ćpuny i wagarowicze. Od czasu do czasu odbywał się tu koncert. Właśnie naprzeciw furki, za niskimi żywopłotami, widniało coś w rodzaju sceny, gdzie dwie srebrzyste wierzby, niczym przysypane szronem i pas żywopłotu odgradzały widownię od sceny, a liczne krzaki stanowiły kulisy.

Czasami latem, gdy autobus stawał naprzeciw furki, ponad głowami publiczności widać było profil pianisty, skrzypka w ciemnym ubraniu lub śpiewaczkę potężnej tuszy w fioletowej sukni z zarzuconym na ramiona różowym szalem, o głosie tak potężnym, że przebijał się przez gwar ulicy, zagłuszał stęknienia zmienianych biegów, szmer ludzkich ple-ple i dobiegał mimo to przez wszystkie przeszkody tak silny, że trzymane w ręku termosowe, metalowe garnki z obiadem dla rodziny, kupionym w taniej garkuchni, zaczynały drżeć w uchwycie z miękkiego drewna, drzenie to przenosząc na rękę i brzuch, a fioletowo-różowy blask zdawał się wypełniać całe pole widzenia, niweczając otaczających ludzi i miasto.

Wiele razy powtarzała sobie, że to po prostu drży autobus, którego silnik zwiększa obroty przed podjazdem, ale robił to wyłącznie wtedy, gdy śpiewała ta kobieta.

Koncertujący zmieniali się często, ale po pewnym czasie ktoś, kto jak ona jeździł tędy do pracy już kilkanaście lat, mógł poznać ich wszystkich. Kiedy latem autobus dojeżdżał do miejsca naprzeciw furtki, w połowie drugiej górkę, zawsze bawiła się w zgadywanie, kogo dziś zobaczy, choć było jej to w gruncie rzeczy obojętne. No, może z jednym wyjątkiem. Nie lubiła grubej śpiewaczki; bała się drżenia rączki od garnków i myśli, które wtedy przychodziły do głowy.

Pewnego dnia autobus prowadzony przez niedoświadczoną kierowcę przemknął obok furtki, podjechał znacznie wyżej niż zwykle i jak to byle do przewidzenia, zabrakło mu tchu. Zmiana biegów spowodowała, że błyskawicznie zaczął tracić to, co nadrobił znacznie większym rozpędem i zaczął staczać się w dół. Po raz drugi przejechał obok furtki, a potem wspinając się na wzniesienie - po raz trzeci.

Wtedy właśnie straciła przekonanie, że wszystko jest dla niej dostępne. Wydało jej się nagle, że na scenie właśnie dziś musi dziać się coś nadzwyczajnego i że poprzez trzykrotne przejechanie obok tego miejsca więcej z tego zobaczy, niż zazwyczaj. Ale dostrzegła tylko chudego człowieka w nieokreślonym wieku z włosami spadającymi na czoło, z fletem w dłoniach. Najważniejsze przemknęło obok niej.

...Czasami stawali tacy w podziemnym przejściu koło jej pracy, a ludzie wrzucali pieniądze w niby to skromnie leżącą z boku czapkę. Byli i inni; grali na skrzypkach, banjo, ustnej harmonijce, ale tych mijała obojętnie. Nigdy żadnemu z nich nie dała ani grosza. Na swoje pieniądze zbyt ciężko musi pracować, całe dni przy energooszczędnej świetlówce licząc pieniądze innych ludzi, przechodząc jednak obok flecisty, zawsze czuła z tego powodu wyrzuty sumienia. Teraz nagle wydało jej się, że skądś tego człowieka zna, że musiała go

widzieć przedtem, a nadto opanowało ją bzdurne uczucie, że zna melodię, którą ten człowiek .gra.

Parę lat temu, w pociągu wiozącym ją z mężem i dziećmi nad niedaleką rzekę, kaleki grajek, poruszający się na czterech kołach – dwóch przymocowanych do kikutów nóg dwóch do rąk bez dłoni - nawisłymi, spierzchniętymi ustami obejmujący flet, grał tę melodię jak na ironię łagodną i słodką, choć sam robił groźne wrażenie.

— To nie jest dobry człowiek — powiedziałaaby jej nieżyjąca już matka i dlatego było jej grajka żal; nie z powodu kalectwa, bynajmniej. To całkiem zabawne jeździć na kółkach, zwłaszcza między fotelami pociągu, rozhuśtanie się do startu, niczym szykujący się do skoku narciarz i hej, mkniemy szybko, oglądając świat z poziomu podłogi. Ale żebrak nie może być dobrym człowiekiem: jest tylko cwany. Wyrzuty sumienia nie powinny mu dawać spać.

Żebrzących jej matka uważała za darmozjadów. Twierdziła, że otrzymują renty, które powinny im wystarczyć na życie, mogą więc wysypiać się do woli, czego nie dano jej, zmuszonej do porannego wstawania i gonienia biegiem do pracy, aby kadrowa nie wstawiła jej haka i nie zmusiła do pisania kłamliwych oświadczeń o hydrauliku i administracji, choć pragnęła raz zdobyć się na odwagę i napisać, że zasnęła. Oni nie musieli pisać żadnych oświadczeń; swoje pieniądze dostawali co miesiąc przekazem, co chcieli kupić, dostawali bez kolejki. Mogli sobie rano wstać i iść do parku, zimą oglądać słońce na powietrzu, a nie zza wahadłowych drzwi biura. Nie musieli tu stać i grać, a od niej wyciągać pieniędzy. Teraz czasy były inne, ale niechęć wpojona przez matkę została. Po czym poznać, odróżnić cwaniaka od biedaka?

Wtedy jednak, w pociągu, jakby w olśnieniu wyrosłym w spojrzeniu przykutym do złej twarzy grajka, doszła do wniosku, że żebracy myśleli zapewne, iż nic się im w życiu dobrego już nie zdarzy, starym, brzydkim i kalekim, niech więc będzie jakaś odmiana, gdy zdadzą się na prąd losu, przestaną nim kierować, może wówczas wyrzuci wygraną jak automat,

śpiewając w kółko głośną melodyjkę, aby wszyscy stojący obok przy innych automatach wiedzieli, że temu oto trafił się fart.

Dlatego odczuwała wyrzuty sumienia nie dając flecistom pieniędzy, tym większe teraz, gdy nasunęła jej się myśl, że i ona idąc śladem takich ludzi, mogłaby raz zdać się na los, wysiąść z autobusu i wejść do parku, zamiast jechać do domu z obiadem w garnkach.

Tamci potrzebowali tak niewiele by iść własną drogą, zwykły flet ze sklepu z zabawkami, kupowany dzieciom w klasie jeden—trzy. Gdyby tak mogła go słyszeć częściej, może przechodziłaby obojętnie obok żebraków. Zawsze czuła, że jest to najwspanialszy instrument na świecie, ale kto ma czas czegoś takiego słuchać, poza tym, co trafi się czasem w radio, oczywiście. Ale gdy ona wraca z pracy, to w radio jest takie disko i bleble, kto powiedział komu jakieś gówno, a potem to już rodzina ogląda telewizję i radio się gasi.

Może przez to, że tego dnia autobus zachowywał się zupełnie inaczej pomyślała, że może dziś właśnie jest ten dzień, kiedy powinna przełamać się, wejść do parku, usiąść na ławce i posłuchać koncertu. Nieważne, że obiad wystygnie, i tak go musi przygrzewać, no nie?

Nie, dziś nie jest przygotowana, Nie ma ze sobą parasolki, a chmury zbierają się na deszcz; buty założyła niezbyt wygodne; na śniadanie był tylko biały ser, więc rodzina jest głodniejsza niż zwykle. Ale w następną sobotę, na pewno w następną sobotę pracującą — postanowiła sobie. Uprzedzi męża, że przyjdzie trochę później, coś wymyśli do tego czasu, bo w taki idiotyzm, że chce pójść do parku, nie tylko on, ale i każdy normalny człowiek nie uwierzy; wysiądzie z autobusu i wejdzie na chwilę do parku

Jeżeli się pospieszy, może nie zabierze jej to więcej niż piętnaście minut i zdąży do domu zanim jej nieobecność sprowadzi niepokój i zapytania. A nawet gdyby nie zdążyła, to i tak domowe wojny wybuchają czasem nie wiadomo z jakiego powodu, przeżyje jeszcze jedną. I tak wszyscy wyładowują złe humory na niej, raz przynajmniej będą mieli rację.

W przyszły piątek, przed sobotą pracującą wyjątkowo ugotuje zupę, jakby to była wolna sobota, a z baru weźmie tylko drugie. Mąż zdąży zupę przygrzać i zjeść, zanim ona wróci do domu z drugim daniem. Jeśli bardzo się postara i zupa będzie super, to mąż nałoży sobie drugi talerz, a wtedy ona będzie miała nie piętnaście, ale dwadzieścia pięć minut czasu.

Niestety, przypomniała sobie dopiero w następną sobotę o postanowieniu, wtedy gdy autobus mijał furtkę w parku i trzeba by cofnąć się o cały przystanek.

Uznała że pomysł był bez sensu. Ale skoro korcił ją park, nie koniecznie musi iść do niego wtedy, gdy koncertują. Może pójść każdego zwyczajnego dnia, ot tak sobie popatrzeć. Tak będzie nawet i lepiej; sama przespaceruje się po scenie, zobaczy czy jest z desek, czy tylko z ubitej ziemi, czy krzaki ukrywają jeszcze prawdziwe kulisy, czy stanowią jedyną osłonę dla obsługujących koncert, obejrzy z bliska i poza jakie zwierzęta bronią wstępu na scenę, lwy czy niedźwiedzie, a może jeszcze inne. Zasluchane kamienne rzeźby obrócone były tyłem do jezdni i z autobusu nie można było rozpoznać, kogo przedstawiają.

Ale teraz zwyczajny dzień jest krótki. po pracy w parku będzie ciemno. Nikt nie chodzi po ciemku do parku, W niedzielę też nic z tego, mąż każe jej zabrać dzieci. W końcu im też się należy trochę świeżego powietrza, a mężowi odpoczynek. W wolną sobotę trzeba posprzątać i wszystko naszykować na niedzielę, więc też odpada.

Zostaje tylko sobota pracująca, trzeba wrócić do starego pomysłu, był dobry, choć nie wypalił. Zaczekajmy jednak do wiosny, dni będą dłuższe.

Uspokojona tym przez kilka następnych miesięcy mijała park nie myśląc o nim, może dlatego, że za oknami autobusu był mrok i chłód., a topniejące na ulicach solne błoto budziło odrazę.

Wczesną wiosną drzewa stały bezlistne, mokry chłód przenikał ciało, na brudnych resztkach śniegu sterczały kawki, niczym obrzydliwe, gnijące szczapy, a smród spalin mieszając się z mgłą, dokuczliwszy był niż zwykle.

Park był równie obrzydliwy jak i reszta miasta. Tylko mieszkanie ze sznurkową wycieraczką przed progiem i ze starym chodnikiem w przedpokoju dawało osłonę i spokój. Komu by chciało się łązić w takie dni do parku!

W pewną środę poszła do lekarza. Potrzebowała recepty na coś lepszego niż zwykły syrop. Od dawna już męczył ją kaszel, a ostatnio w aptekach nic porządnego nie sprzedawali od ręki. Najgorzej zacząć się leczyć. Lekarz od razu coś tam znalazł, kazał porobić różne badania i wystawił zwolnienie. Głupia by była, gdyby szła do pracy, ale na badania też nie miała siły wyczekiwać w kolejkach, najwyżej więcej do tego lekarza nie pójdzie. Przynajmniej przez tydzień obiady rodzinie przygotuje, mieszkanie wysprząta, poleży trochę rozparta w fotelu oglądając rano w telewizji film, który zawsze idzie wieczorem.

W czwartek miała gorączkę i. czuła się źle, więc spała cały dzień. Przed trzecią tylko zwlekła się i ugotowała jakąś zupę z tego, co było w domu i otworzyła puszkę z mięsem, żeby nie mieli do niej pretensji, że siedzi w domu, a obiad nie ugotowany. - To. żadna praca mówił mąż, wstawić włoszczyznę, zalać wodą, a samo się gotuje.

W piątek zrobiła normalny obiad z dwóch dań, wysprzątała mieszkanie, kątem oka obejrzała film, bawiła się z dziećmi po południu i rozmawiała trochę z mężem wieczorem, aż gdy poszli spać, nieśmiało wsunął się do jej łóżka i spali ze sobą po raz pierwszy bodaj od miesiąca. On nie chciał już tak często jak dawniej, i dobrze, bo coraz bardziej bywała zmęczona, ale czasem było jej przykro z tego powodu, bo nie była już taka młoda, figura jej się psuła i nie byłaby zdziwiona, gdyby szukał sobie innej.

W sobotę obudziła się rano, wyprawiła dzieci do szkoły i poczuła, że jest to właśnie ten dzień, kiedy może, nie tłumacząc się nikomu, zaspokoić swoje idiotyczne pragnienie.

Rozglądając się wokół szła aleją parkową. Powietrze miało smak słono wilgotny, dziwnie przenikliwy dla kogoś, kto parę dni nie wychodził z domu. Serce biło jej niespokojnie, nie wiadomo od czego. Nieprzyzwyczajona do

chodzenia bez siatek, nerwowo sprawdzała co chwilę, czy pasek malutkiej torebki nie zsunął się z ramienia, a torebka nie zginęła. Wcale nie była taka szczęśliwa, jak powinna być,

Zdyszana przystanąła u wylotu alei, w którą należało skręcić. Pojedyncze krople kapuśniaczku z zwilżały jej włosy I było to uczucie zupełnie miłe. Wyobrażała sobie te kropelki tkwiące między jej włosami, okrągłe i szkliste, drżące przy każdym ruchu. Ale dokąd się tak spieszy, aż złapała ją zadyszka? Nawet gdyby usiadła teraz na ławce nic się nie stanie, ma jeszcze czas. Nie musi też iść na koncert, o to właśnie chodzi, że nic nie musi.

Deszcz mżył coraz gęściej, ale nie chciało jej się wyciągać parasolki. Poczula się w dziwny sposób otwarta, Przyjemnie było łowić na swoje włosy deszcz, chwytac odgłosy dalekiej ulicy i bliskie skrzypienie żwirku w alejce...

Ścieżką zbliżały się dwie matki z wózkami, kilkorgiem drobiazgu i psem. Ich głosy, namoknięte deszczem dobiegały na przemian z marudzeniem dzieci,

- Mój taki brudas okropny! Nie uwierzy pani, założyłam mu wczoraj dresy, te niebieskie z paskiem, wczoraj w południe, i już za godzinę trzeba było brać do prania!

- Nie płacz Beatko, widzisz, że Wiktoria nie płacze, chociaż ma tyle samo lat, co ty. trochę deszczu nikomu nie zaszkodzi. Pobaw się z pieskiem, pobiegaj trochę, tylko broń Boże, żebyś się nie spociła... Och, wie pani, dzieci... Nigdy niczego im się nie nastarczy...

- Nie przeszkadzaj Olivierze, kiedy mamusia rozmawia! Oczywiście że ty też możesz pobawić się z Whisky. A właśnie... Miałam pani spytać. Co się Whisky stało w uszy? Tak śmiesznie jej pani. zakleiła piastrem, nie wszere, a wzdłuż brzegów, na okrągło...

Obie kobiety zbliżyły się do ławki. Ich rozwlekłe głosy, śmiertelnie poważne, jakby właśnie odkrywały największe prawdy świata, drażniły. Mogłyby sobie szybciej pójść... Za dużo mają baby wolnego czasu. Jak można tak gadać różnych bzdetach i nie czuć się znudzonym?! A może to ona nie ma

racji, może żyje za szybko i wszystko, co nie zawiera sensownej treści, wydaje jej się nudne? Może, tak jak te kobiety, należy spacerować powoli, słuchać dźwięku własnego głosu, nie zwracając uwagi na treść, mówić rozwlekle i o byle czym, nie spiesząc się, na luzie...

- A wie pani, Whisky miała takie brzydkie uszy... Każde zaginało się w innym miejscu. Znajoma mówiła, że jak rasa nie jest zbyt czysta, to są w wyglądzie takie felery. Wzięłam więc wczoraj nożyczki i powycinałam jej uszy, tak, wie pani, jak niektóre ładne listki. Miałam taki zasuszony w albumiku, odrysowałam więc go na kartce i zrobiłam wykrój. Jak się zagoi, będzie naprawdę śliczna z takimi uszami. Od razu mordka zyska na wyrazie!

Odechciało jej się koncertu. Pomyślała, że na pewno śpiewać będzie ta okropna, gruba kobieta w fioletowej sukni i różowym szalu, a od jej głosu nieprzyjemnie zacznie drżeć powietrze; że uszy psa mogą bardziej boleć od tej muzyki i że wreszcie mży deszcz i park nie jest wcale przyjemniejszym miejscem niż ciepły autobus i że szkoda było tracić dwie godziny, by go zobaczyć.

W autobusie był tłok, trafiła właśnie na czas powrotu z pracy, ścisnęła więc kurczowo małą torebkę, bojąc się, że ją zgubi. Daleko, z tyłu, dojrzała kadrową ze swego biura i teraz tylko pozostało wierzyć, że jej dotąd nie dostrzegła i modlić się, żeby tak było dalej. Jest przecież na zwolnieniu, a lekarz zakreślił rubryczkę „musi leżeć”. Jeśli tamta ją dostrzegła, będzie w pracy afera. Co mogłaby sensownego odpowiedzieć wezwana do dyrektora? Widziała już siebie, stojącą przed politurowanym biurkiem, niezgrabną w pogniecionej od kilkugodzinnego siedzenia spódnicy, ze wzrokiem biegnącym od jednego przedmiotu do drugiego, słuchającą ostrych słów, a gdy sięgnęły one szczytu w retorycznym pytaniu: „Co pani ma na swoje usprawiedliwienie?” – przez szmer głosów ulicy i autobusu usłyszała swój z lekka zachrypnięty ze zdenerwowania głos;

— Poszłam ułowić deszcz.



Wiedziała jednak, że nie starczy jej nigdy odwagi, by powiedzieć to naprawdę, że wybąka wtedy jakąś nieprawdopodobną historię na kilometr pachnącą kłamstwem, więc tylko pragnąc choć przez chwilę być w zgodzie ze sobą i nie zapomnieć tego, co najważniejsze, otwierając drzwi mieszkania, na pytanie dziecka odpowiedziała:

— Poszłam ułowić deszcz.

Miała nadzieję, że mąż tego nie słyszał, a dziecko nie będzie zbyt dociekliwe. Sama nie wiedziała jeszcze, co oznacza: ułowić deszcz.